Nr. 29. Rok III. Nr. 29.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 19 lipca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Stuletni jubileusz Komisji Edukacyjnéj.

Zagnieżdżenie się Jezuitów na polskiéj ziemi było klęską dla naszego narodu. Zakon ten, chciwy władzy, nie szczędził żadnych środków, byle zapanować nad sercami swoich zwolenników a przez serca ich dojść do zawładnięcia mieniem jednostek i losami kraju. Jeżeli Jezuita jako członek samolubnego zgromadzenia, na rodzinnéj ziemi nie zważał na środki byle dojść do celu, tém mniéj czuł on w Polsce skrupułu, gdzie go, jako obcego narodowością, nic nie wiązało z krajem i z narodem.

Taki nieprzyjazny Polsce żywioł sprowadził do nas Hozyusz, takie niezgodne z interesami politycznemi Polski idee szczepili z Włoch, Hiszpanji, Niemiec i Francji sprowadzani Jezuici w młodzież polską! Jezuita nie znał ojczyzny innéj jak Rzym i niebo. Te dwa wytknąwszy sobie cele, zdążali synowie Lojoli do mety, nie troszcząc się o losy kraju. Rozpaczliwe też oni zostawili po sobie ślady w każdym kraju, a więc i w Polsce na tym trakcie duchowym. Kłócąc się u nas wiecznie o hegemonją to z Akademją krakowską, to z Pijarami, to z Dominikanami i wszystkiemi zakonami naszemi, najzgubniejsze wpajali w młodzież polską zasady, która, naśladując swych nauczycieli, kłóciła i biła się między sobą w szkole, zaprawiając się do pieniactwa na ławach szkólnych. Nic więc dziwnego, że wyrosła na pieniaczy sejmikowych, że kłóciła się potém i biła w życiu prywatném i publiczném, dopuszczając się bezprawi w trybunałach, zjazdach, sejmikach i sejmach. Podżegana w szkołach przez Jezuitów do kłótni i bijatyk, traciła dla swych nauczycieli nawet szacunek, nie znała poszany ani dla prawa, ani dla osób. Tak w jednę stronę sobkostwa skierowawszy Jezuici szkoły, zaniedbali rzeczywistego wychowania młodzieży, zastępując naukę teatrzykami, fraszkami łudzącemi oko, sposobiąc młodzież polską na dewotów dziwactwami myśli i stylu, igraszką słów, zawiłościami dyalektycznemi, subtelnościami filozofji i teologji scholastycznéj, — słowem blichtr i hypokryzja charakteryzowały szkoły jezuickie w Polsce.

Smutnie odbijały się te praktyki jezuickie na życiu narodu: nieład, rozstrój prywatny i publiczny, dewocja i nieodzowna ich towarzyszka, ciemnota, ogarnęły cały naród a obłęd umysłowy do tyla ogarnął cały kraj, że Akademja krakowska, zazdroszcząc Jezuitom świętego Stanisława Kostki, krocie wydawała na kanonizację Jana Kantego, głosząc, że „od téj kanonizacji zawisło dobro i szczęście Rzeczypospolitéj.“ Rzym zabrał więc bogactwa kraju za Jana Kantego, którego kanonizację odwłóczył z roku w rok, a w kraju dla braku funduszów upadały i nie rozwijały się najzbawienniejsze instytucje!

Naród tak był odurzony bigoterją i fanatyzmem, że, kiedy krajano Polskę na troje, zalegał świątynie, prosząc Boga, aby za tę ojczyznę ziemską dał mu ojczyznę niebieską!

Wśród tak opłakanych dla Polski czasów zesłała jéj Opatrzność ku środkowi zeszłego wieku męża nieśmiertelnéj sławy, Stanisława Konarskiego, który, zakładając w różnych częściach kraju konwikta, chciał na inne tory skierować wychowanie polskiéj młodzieży. Za późno on przyszedł, bo Jezuici już zbyt wiele rozsiali chwastu, zbyt w pychę urośli, więc zaślepiony samolubstwem zakon szkodził na każdym kroku szlachetnym zamiarom Konarskiego.

Papież Klemens XIV, nalegany przez opinję publiczną, na mocy buli „Dominus ac redemptor noster" rozwiązał 1773 r. ten zakon jezuicki, za co, jak Alfred Meissner dowodzi, zatrutym został od pobożnych synów Lojoli! Zapóźno dla Polski rozwiązano nieszczęsny zakon, bo w kraju taki panował szał, taki obłęd, takie zamięszanie pojęć i nieuczciwość, że mądrzy teologowie polscy przy kanonizacji Jana Kantego r. 1775 a więc wśród rozbioru Polski, kiedy straż zagranicznych żołnierzy strzegła porządku w grodzie Jagiellonów, nie wstydzili się wołać, że „Polska jest jednym z najmocniejszych królestw Europy!"

W téj epoce zamętu kiełkowało w narodzie zdrowe ziarno rzetelnego wychowania, rzucone na łany polskie przez Stanisława Konarskiego. Cały naród widział, że tylko dobre szkoły, dobra nauka od dołu mogą uratować go od ostatecznéj zguby, w chwili, kiedy nad krajem zawisła jedna z najczarniejszych burz, kiedy zachwiana w posadach swych budowa Rzeczypospolitéj chwiać się zaczęła na dobre, a część jéj już runęła. Wzniósł więc na gruzach jezuickiego zakonu

wiekopomną Komisję Edukacyjną

przeznaczając fundusze pojezuickie dla niéj na podniesienie oświaty narodowéj. Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, postawił ten szczęśliwy wniosek w sejmie, któremu przewodniczył Adam Łodzia Poniński, poseł liwski, i z uniesieniem przyjęto tę propozycję. Zawiązała się też niebawem Komisja Edukacyjna, do któréj składu należeli najwyżsi dostojnicy Rzeczypospolitéj, bo sekretarz W. Ks. Litewskiego, referendarz koronny, jenerałowie, biskupi, książęta, wojewodowie i starostowie*). Tak głęboko a żywo uczuto potrzebę narodowego wykształcenia, że świeccy i duchowni stanęli obok siebie, aby ratować ojczyznę. Szczupłemi atoli stosunkowo funduszami rozporządzała Komisja Edukacyjna, bo resztkami majątku pojezuickiego, o ile go łakomi i chciwi mamony ziemskiéj synowie Lojoli nie roztrwonili w ostatniéj chwili lub nie unieśli z sobą z kraju.

Zrozumiała Komisja Edukacyjna, że od dzieci należy zacząć budowę skołatanéj nawy ojczystéj; więc też wychowaniem ich się zajęła. Ustawy Komisji Edukacyjnéj zaglądają wszędzie, biorąc w opiekę dziecko od pierwszych chwil życia jego i prowadząc je macierzyńską ręką aż do ukończenia najwyższych w kraju nauk — akademickich. Wszędzie zastała Komisja nieład i rozstrój, olbrzymia ją przeto czekała praca, któréj jednak nie ulękli się szlachetni synowie Polski, mając przy boku mężów świecących głęboką nauką a zagrzewanych gorącym patrjotyzmem.

Nie tu miejsce wymieniać zdrowe rady wychowawcze i pedagogiczne objęte ustawami Komisji Edukacyjnéj, dość powiedzieć, że były pod każdym względem zdumiewające świat szkolny zagraniczny i że do dziś dnia nic lepszego jeszcze nie ustanowili prawodawcy i metodyści pedagogiczni. Europa z zazdrością spoglądała na polskie prawidła wychowawcze, które dopiéro o wiele późniéj zaprowadzono za granicą, kiedy nam ich wykonać pod obcą opieką nie było wolno. Nie zbyt długiém było życie Komisji Edukacyjnéj, którą przygniotły swym ciężarem burze polityczne, ale jednak wiele dobrodziejstwa wyświadczyła błogosławiona ta instytucja krajowi, który, zastawszy w największym rozstroju duchowym i walcząc z uprzedzeniem i złą wolą, krzyżującą szlachetne jéj zamiary, jednak postawić zdołała na drodze do moralnego i materjalnego rozwoju, i gdybyśmy byli chociaż o tyle, o ile nam stosunki zaborczéj opieki dozwalały, szli torem Komisji Edukacyjnéj, nie byłoby zaprawdę dziś u nas tak smutnego upadku duchowego. Synowska wdzięczność nakazuje uczcić pamiątkę założenia Komisji Edukacyjnéj,

---

*) Mocą uchwały sejmowéj z dnia 17 lipca 1773 r. należeli do Komisji Edukacyjnéj: Ignacy Massalski, biskup wileński; książę Poniatowski, biskup połocki; Sułkowski, wojewoda gnieźnieński; Chreptowicz, podkanclerzy litewski — ex ordine equestri: Ignacy Potocki, pisarz litewski; książę Adam Czartoryski, jenerał Ziem podolskich; Andrzéj Zamoyski, kawaler orderu Orła Białego i Poniński, starosta kopanicki.

Do składu Komisji Edukacyjnéj przybyli późniéj: Michał Mniszek, sekretarz W. Ks. Litewskiego; Jacek Małachowski, referendarz koronny; Jędrzéj Mokronowski, jenerał inspektor wojsk koronnych; Franciszek Bieliński, starosta czerski; Maciéj Poraj; Garnysz, biskup chełmski; Michał ks. Radziwiłł, kasztelan wileński; Antoni Małachowski, wojewoda mazowiecki; Ignacy Przebendowski, marszałek rady nieustającéj; Stanisław Poniatowski, G. L. W. koron.; Gaspar Cieciszowski, biskup kijowski; Ludwik Gutakowski, podkomorzy W. Ks. L.; Antoni Lanckoroński; Juljan Niemcewicz; Feliks Oraczewski. Członkowie Komisji nie brali żadnych pensji. Odbywali co tydzień dwie sesje w bibljotece Załuskich. Co kwartał odsadzała Komisja sprawy tyczące się funduszów edukacyjnych; co pół roku odbierała sprawozdania od wszystkich szkół, roztrząsała je, robiła nad niemi różne swoje uwagi, załatwiając natychmiast to wszystko, co według raportów wizytatorskich niezwłocznego załatwienia wymagało. Sekretarzem téj wiekopomnéj magistratury był uczony ex-jezuita Grzegorz Piramowicz, a w biurze jéj pracował nasz znamienity pisarz dramatyczny Franciszek Zabłocki. Ostatnie posiedzenie Komisji Edukacyjnéj było dnia 10 kwietnia 1794 r. Znajdowali się na niém: książę Michał Poniatowski, prezes; Andrzéj Gawroński, kanclerz katedry krakowskiéj; Wojciech Skarszewski, biskup chełmski; Hieronim Strojnowski, kanonik kijowski i Mikołaj Wolski.

aby jéj czyny, jéj mężów, przekazać potomności i zagrzać ją do gorliwéj pracy duchowéj.

Galicja jedyna z ziem polskim zrozumiała to, i w dniu 17 lipca r. b. jako rocznicę setną ustanowienia Komisji Edukacyjnéj uroczyście w grodzie Lwa spłaciła dług wdzięczności téj szlachetnéj instytucji narodowéj. Myśmy się na to nie zdobyli, aby czcząc przeszłość, zagrzać z wszystkich stron zagrożone pokolenie do usilnéj pracy w szkole, przekazując nam i dzieciom naszym testament konającéj Polski, nawołującéj nas do oświaty.

U nas powstało w rocznicę rozbioru Polski „Towarzystwo Oświaty Ludowéj“, a doczekawszy się drugiéj rocznicy: założenia Komisji Edukacyjnéj, mogło się dowodnie przekonać, jak trudną jest dziś praca około podniesienia duchowo zaniedbanego naszego ludu.

Jak przed stu laty znalazły się żywioły paraliżujące czynności Komisji Edukacyjnéj, tak i dziś niefortunny zakaz brania udziału ze strony duchowieństwa wielkopolskiego w pracach Towarzystwa Oświaty, rozwijać mu się i skuteczniéj działać nie pozwala. Jak przed stu laty wysyłano krocie do Rzymu na kanonizowanie świętych, tak i dziś wychodzą krocie na świętopietrze i misje chińskie, japońskie i hottentockie — które ojczyznie naszéj nic więcéj nie przynoszą jak tylko ordery, szambelańskie szaty i dziękczynne listy dla składkujących.

Czyż tak około dzieła poprawy chodzić należy? Czyż miasto zbytku dbałości o dobro obcych nam zupełnie, nie należałoby raczéj zająć się gorliwiéj sprawą domową, oświatą samych siebie i ludu? Czyż każden grosz dany na cele podniesienia z upadku własnéj społeczności nie będzie milszą Bogu ofiarą aniżeli chińskie i japońskie talary?

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Słowa te sprawiły wcale niespodziewany efekt. Hrabina z domu Grzmocka bardzo spiesznie, młody pan Grzmocki, mąż baronówny, zwolna i ostrożnie zbliżyli się, każde do drzwi, któremi weszło, potém silnie zatrzasnęli je za sobą i pan Kwiryn usłyszał najwyraźniéj z jednéj i z drugiéj strony łoskot klucza zamykającego się na dwa spusty.

W téj saméj chwili, ulegając potędze jego wysilenia, tabakierka otworzyła się nareszcie ale uległa takiemu wstrząśnieniu, że cała mięszanina holenderki z hamburką, jaka się znajdowała w jéj wnętrzu, rozsypała się na podłogę.

— A tym co się stało, u djabła? — rzekł do siebie pan Kwiryn, — głowy potracili?... baryka dują się przedemną... czy też chcą mnie zamknąć do kozy?... i tabakierka mi się zbuntowała dla kompanji!... No, no, panie Kwirynie, wszelako dostałeś się w opały!...

Spojrzał z litością na rozsypaną tabakę, która na gładkiéj, świecącéj się jak zwierciadło posadzce stanowiła okaz przerażającego nieporządku...

— Narobiłem dosyć nieszczęścia, — pomyślał, — nie trzeba, żeby i nieporządek mieli mi do zarzucenia.

Z tą myślą wyjął z kieszeni chustkę od nosa i zaczął strzepywać rozsypany czarny proszek z podłogi. Nie był widać wprawny do takiéj pracy, bo tabaka strzepnięta z jednego gromadziła się w drugim punkcie, a gdy ją ztamtąd wypłoszył, ukazywała się znów o kilka kroków, uporczywą prowadząc z nim partyzantkę... Pocił się pan Kwiryn, ale nie dawał za wygraną i postanowił dokazać swego...

Nie chcemy robić zagadki z okoliczności, która była powodem, że hrabina z domu Grzmocka i młody pan Grzmocki, mąż baronówny, tak nagle odbiegli od Zakuckiego.

W mieście, które jest widownią naszéj powiastki, przy ulicy Przymiejskiéj, téj saméj, na któréj mieszkali Żaliccy, mieszkał także trzeci już kapłan Eskulapa, z którym się na kartach tego opowiadania spotykamy, doktor Putzig, Niemiec, z całą systematycznością i pedanterją swemu narodowi właściwą oddający się studjowaniu chorób umysłowych, znany nawet w świecie naukowo-medycznym jako twórca teorji, dotąd niestety nie mogącéj się doczekać uznania zacofanych fakultetów medycznych Europy, opartéj na hypotezie, że wszystkie choroby ciała, począwszy od cholery i suchot aż do rumatyzmu i kataru, mają swe siedlisko w nieprawidłowościach i cierpieniach umysłu. Zamiast proszków albo pigułek pacjentom cierpiącym na żołądek przepisywał czytanie Eneidy trawestowanéj przez Blumauera; to też dotknięci cierpieniami fizycznemi pacjenci opuścili go bardzo prędko, do leczenia jednak chorób rzeczywiście umysłowych miał szczęście i pod tym względem nigdy nie brakowało mu praktyki. Urządził nawe[illegible] u siebie rodzaj prywatnego szpitala i miał zawsze pewn[illegible] liczbę pensjonarzy, chorych na obłąkanie, melancholj[illegible] łagodne lub gwałtowne szaleństwo.

Za jednego z takich pensjonarzy wzięła Zakuckieg[illegible] hrabina z domu Grzmocka i młody pan Grzmocki, mąż baronówny. Wnieśli z jego słów, że ojcu ich przyszła fantazja odwiedzić pacjentów doktora Putziga i że jeden z tych pacjentów zdołał uniknąć na chwilę dozoru, pobił pana Grzmockiego, zerwał mu czapkę a potém wydostał się na ulicę i przyszedł odnieść właścicielowi zabrane mu nakrycie głowy.

Zamknąwszy pana Kwiryna w pokoju, pospieszyli oboje do kamerdynera pana Grzmockiego, człowieka najdoświadczeńszego z całéj służby.

— Wincenty, zlituj się, — zawołała hrabina z domu Grzmocka, — ten człowiek z czapką jest obłąkany...

— Furjat, szaleniec niebezpieczny, — potwierdził brat hrabiny, — postaraj się Wincenty... tylko zręcznie

i ostrożnie bo cię pokąsa... wyprowadzić go z domu i odwieźć do doktora Putziga...

— Ledwieżem od niego uciekła, — dodała nie mogąca jeszcze ochłonąć z przestrachu hrabina.

— Myślałem, że się już na mnie rzuci, — nadmienił mąż baronówny.

— Weź się do niego łagodnie... nie trzeba się pastwić nad nieszczęśliwym, — zaleciła litościwa hrabina.

— Tém bardziéj, że traktując go zbyt bezwzględnie, moglibyśmy narazić się familji, — zauważył młody pan Grzmocki.

U doktora Putziga pensjonarzami bywali zwykle ludzie bogaci i pochodzący ze znakomitszych rodzin, tém więc tłomaczyć należy troskliwość brata hrabiny.

— Tylko się go pozbądź spiesznie, mój Wincenty, — rzekła jeszcze hrabina z domu Grzmocka, — bo ja się póty będę bała, dopóki będzie w domu.

Kamerdyner pana Maurycego był człowiekiem poważnym i wszystko biorącym na rozum.

— Zapewniam jaśnie państwa, — rzekł, — że wszystko będzie dobrze i że się obędzie bez gwałtu... niech mi tylko jaśnie państwo pozwolą działać jak uważam...

— Dobrze, postąp, jak ci się zdaje, byleś nas od niego uwolnił.

To powiedziawszy rodzeństwo odeszło.

Niedarmo wspomnieliśmy, że kamerdyner Wincenty był człowiekiem biorącym wszystko na rozum. Wziął on na rozum swoją delikatną misję i postanowił wywiązać się z niéj ku największemu młodych państwa zadowoleniu.

Pomyślał trochę i wydał odpowiednie rozkazy niższéj służbie. Jeden lokaj pospieszył do stajni, żeby kazać zaprzęgać do karety, dwóch innych miało przywdziać liberję i być na pogotowiu.

Sam Wincenty na palcach poszedł do pokoju, w którym znajdował się Zakucki. Nie chcemy go krzywdzić pominięciem uwagi, że zdecydowanie się na ten krok dobrze świadczyło o jego odwadze cywilnéj.

Uchylił drzwi tak ostrożnie, że najmniejszego skrzypnięcia słychać nie było, i z niemałém zdumieniem zobaczył w pokoju maleńkiego człowieczka w czamarce, wykonywającego jakiś dziwny taniec połączony z wywijaniem chustki od nosa.

— Na furjata nie wygląda, ale że fiksat to fiksat, — pomyślał.

Słyszał od kogoś czy też wyczytał w jakiéjś książce, że najłatwiéj można uczynić uległym warjata, udając, że się także nie ma jednéj klepki i to téj saméj, któréj jemu brakuje. Nie namyślając się więc ani chwili, wyjął z kieszeni chustkę od nosa i puścił się po pokoju zupełnie takie same lansady.

Gdyby kto z boku mógł spojrzeć na to pocieszne as de deux, zapewne nie wstrzymałby się od śmieu. Pan Kwiryn w machaniu chustką i poskokach iał przynajmniéj cel jakiś i systemat, — ścigał i spęzał ze stanowisk rozproszoną po podłodze tabakę; incenty tańczył zupełnego walczyka a chustką wyrawiał najdziwaczniejsze ewolucje to po nad głową, to okoła swojéj osoby.

Spostrzegłszy to nareszcie pan Kwiryn stanął i wytrzeszczył oczy.

Jednocześnie zatrzymał się także kamerdyner biorący na rozum, la danse aux mouchoirs został przerwany.

— Cóż to znowu za djabeł? — pomyślał strasznie pomięszany Zakucki.

Ubranie Wincentego nie zdradzało bynajmniéj jego stanowiska w domu pana Grzmockiego, rysy zaś jego były takie, że można go było łatwo posądzić iż należy do rodziny, któréj córki wychodzą za hrabiów a synowie żenią się z baronównami. Praktykant fryzjerski prawie niczém się nie różni od złotego młodzieńca, Wincenty zaś prawie niczém się nie różnił od fryzjerskiego praktykanta.

Przyszło tedy na myśl panu Kwirynowi, że szczególny amator walca musi być jakimś kuzynem pana Grzmockiego, cierpiącym na małego bzika.

To przypuszczenie jeszcze bardziéj pomięszało poczciwca.

— Przepraszam mocno pana dobrodzieja... — rzekł, — to tylko ta tabaka..

— Ma zajączki, — rzekł do siebie w duchu Wincenty, — oczywiste zajączki, kiedy taniec zowie tabaką.

I zgodnie z przyjętym systemem odpowiedział:

— Oczywiście, panie dobrodzieju, oczywiście... ja nadzwyczaj lubię tańczyć tabakę.. możebyśmy spróbowali raz jeszcze?...

Biedny pan Kwiryn ani wiedział, jak się znaleźć i jak przemówić. Domysły jego zostały potwierdzone, jedném nieostrożném odezwaniem się mógł uchybić domowi, któremu uchybić nie chciał.

— Wszelako, chyba nie w téj chwili, — rzekł, zdobywając się nareszcie na słowo, — pragnąłbym, jeżeli podobna, zobaczyć się z panem domu...

— A! z panem domu, z hrabią Grzmockim, nieprawdaż?

— Tak jest, panie dobrodzieju, wszelako...

— Czy nie wolnoby wiedzieć, w jakim interesie? — spytał Wincenty, — zapewne względem téj tabaki?...

Pan Kwiryn spojrzał na mówiącego, chciał się urazić ale pomyślał sobie:

— Co się będę sprzeczał z kandydatem do czubków!

I przypuszczając, że obłąkany rozsądnéj odpowiedzi nie zrozumie, rzekł:

— To jest, nie tyle względem tabaki... jak względem odwrotnéj strony medalu, to jest... chciałem powiedzieć...

— Rozumiem już, rozumiem... nie potrzebujesz pan nic mówić... skoro o medal idzie, to już wiem... Przynosisz pan taki medal, co ma tylko samą odwrotną stronę... doskonale!... hrabia Grzmocki przepada za medalami... ma tego zbiór ogromny, ale nie ma żadnego takiego, coby miał tylko odwrotną stronę... przyjmie pana dobrodzieja jak księcia... zaraz go pan zobaczysz... proszę ze mną... proszę ze mną...

Zakucki, jak się łatwo domyślić, poszedł, szczęśliwy, że nareszcie zobaczy jakiego człowieka przy zdrowych zmysłach, który go uwolni od towarzystwa obłąkanego kuzyna jasnego pana.

Wincenty jeden palec położył na ustach, jakby nakazywał milczenie, drugą ręką wskazywał mu drogę.

Gdy przyszli do przedpokoju, pan Kwiryn chciał coś powiedzieć, może zaprotestować przeciw wyprowadzaniu się za drżwi.

Ale zaledwie pierwszy dźwięk głosu wyszedł z jego piersi, Wincenty odjął palec od ust, wskazał nim jakiś kwiatek w obiciu na ścianie i z miną człowieka mającego do powierzenia tajemnicę, od któréj losy świata zależą, rzekł:

— Widzisz pan to?...

— Widzę, — odpowiedział pan Kwiryn, nie chcąc się szaleńcowi sprzeciwiać.

— A no, kiedy pan widzisz, to pan rozumiesz, że trzeba być cicho... ani mrumru!... pst!... na paluszkach!...

To mówiąc, znowu palec położył na ustach, drugą ręką ujął Zakuckiego pod ramię i wyprowadził do bramy, gdzie stała zaprzężona kareta.

— Niechże pan dobrodziéj siada, — rzekł najuprzejmiéj, wskazując miejsce.

— Gdzież mamy jechać? — zapytał skłopotany Zakucki.

— Jak to?... pan dobrodziéj zapomniał?... do pana hrabiego względem téj odwrotnéj strony...

Chciał coś odpowiedzieć pan Kwiryn, ale dwóch uliberjowanych drabów wzięło go pod ramiona i z łagodnym przymusem wprowadziło na stopnie powozu, zaraz za nim wsiadł Wincenty, zatrzasnął drzwiczki za sobą i pozapuszczał portjery, mówiąc:

— Będzie nam widniéj, panie dobrodzieju... daleko widniéj... w piątek zielony kolor daje więcéj światła niż słońce.

Zakucki patrzył na niego w milczeniu.

— Osobliwy jakiś warjat, — rzekł do siebie w myśli — ale nie musi być niebezpieczny, bo przecież nie zostawialiby mnie z nim razem... Ciekawym, co z tego będzie.

Zrezygnował się pozostać i obserwować szaleńca zakłopotanie jego znikło zupełnie, był pewnym, że wié z kim ma do czynienia, i gdyby nie litość nad smutnym stanem towarzysza przejażdżki, byłby mu nawet dobry humor powrócił.

Lokaje umieścili się z tyłu karety, konie ruszyły.

Ani kamerdyner Wincenty, który brał wszystko na rozum, ani pan Kwiryn Zakucki nie wojażował jeszcze nigdy w życiu z taką paradą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Spuścizna polska.

Runął tron, padły orły, pogonie —
We krwi legły Twéj ojczyzny męże:
Korona cierni wieńczy Twe skronie,
W okół kajdany, mordu oręże...
Cóż Ci zostało? Ojczyzny mara?
„Wiara!“
Najmniejszy promyk szczęsnéj przyszłości
Zagasł w niewoli najezdzcy-kata —
Na polach Twoich gniją Twe kości,
Nad niemi podłość z zdradą się swata.
Co z Cię wypędza zwątpień zawieje?
„Nadzieja!“
Na każdym kroku szydrcze wrogi
Śledzą Twych uczuć serca i ducha —
I drą się nawet po za Twe progi,
Żali tam zawiść co nie podsłucha...
Co im Ty dajesz za tę zażyłość?
„Miłość!“
Wiara, nadzieja, miłość bliźniego,
To Twa spuścizna, o polski bracie! —
Nią zwalcz nęcenia wroga srogiego,
Nią rządź się w kraju, w polu i chacie.
Przez onéj siłę da Bóg ci męztwo,
„Zwycięztwo!“
Ucz się jéj drogą pracować szczerze
Nad sobą, swymi, choć w czoła pocie;
Rządź się w miłości, nadziei, wierze,
Wzmacniaj w cierpieniu, wytrwania cnocie.
Wszechmocny wróci, gojąc Twą bliznę,
„Ojczyznę.“

Bo w cierpień drodze Pan Ci przeznaczył
Już na téj ziemi wysoką rolę,
Oświaty ducha przyszłość dać raczył,
Świętéj wolności przez Twą niewolę.
I błyśnie promień Twojéj wielkości
„W ludzkości.“
Niech materjalizm, grzech i niewiara
Hulają dzisiaj po Bożym świecie —
Przyjdzie czas, kiedy występku mara
Nieszczęsnych wrogów srogo przygniecie!
Wonczas Ty ludy z hańby wyłonisz,
„Obronisz.“
Nie siłą miecza, lecz siłą ducha
Stanie Twe znamię na wodzy ludu —
Świat dążeń Twoich kornie usłucha
I dozna przez Cię zbawienia cudu.
Z łona Twojego tryśnie promienie
„Zbawienie!“
I ci, co przedtém Ciebie gnębili,
Co podeptali Twe święte prawa —
Czołem pokornie będą ci bili,
Będą-ć wołali: Sława Ci, sława!
Uzna spodlona, znękana dusza,
„Chrystusa!“
O ludu polski! przy téj spuściznie
Wielkiś Ty, wielki mimo kajdany!
Bądź więc strażnikiem polskiéj ojczyznie,
Nie wchódź w sojusze z Twemi tyrany.
Ty po nad ludzkość tu wsławisz siebie —
„I w niebie!“

E. K.

Zadania filozofji w naszych czasach

napisał

Dr. Józef Descours de Tournoy.

(Dalszy ciąg.)

Żaden jednak system filozoficzny nie zrobił tyle dla podniesienia godności sumienia ludzkiego. Dla dodania mu nowego życia, potęgi i siły sumienie zostało sformułowaném jako osoba, różna i prawie niezależna od organizmu fizycznego, a uznane przez wszystkich za nieśmiertelne stało się w ten sposób czynnikiem metafizycznego porządku świata.

Wszystkie te spekulacje na pół filozoficzne, na pół religijne używały za podstawę najciemniejszych miéjsc z filozofów starożytnych a tym sposobem owych pojęć powszechnych Arystotelesa i idei Platona. Pojęcia te w starożytności daleko były bardziéj zawiłe aniżeli obecnie, gdyż rzucił na nie światło dopiéro Galileusz a następnie Locke, rozebrawszy naturę pierwszy wyobrażenia, a drugi wyobrażenia i pojęcia oderwanego.

W starożytności i w wiekach średnich jak i dotąd

wielu filozofów nie umie odróżnić pojęcia oderwanego od idei estetycznéj.

Ażeby zrozumieć różnicę idei estetycznéj od pojęcia trzeba zwrócić naprzód uwagę, że pierwsza znaczy to, co w pospolitym języku nazywa się ideałem. Ideał znaczy doskonałość formy, to jest kiedy forma najzupełniéj odpowiada treści.

Pomiędzy przedmiotami sztuki lub natury znajdują się i takie, które formą swoją wyrażają tak dokładnie swoją istotę, swój cel, że rozum mimowoli je sobie tłomaczy teleologicznie i, widząc w nich urzeczywistnienie celu, spostrzega w nich jakby działanie według pojęcia celu, to jest działanie rozumne a tym sposobem widzi w nich siebie samego. Naprzykład koń piękny, z elastycznemi nozdrzami, okiem pełném ognia, piersią szeroką i cienką nogą wydaje nam się umyślnie na bieguna stworzony, jego kształty mimowoli sobie tłomaczymy ideą tego celu i zapominamy nawet o własnych celach naszych, żeby tylko uwielbiać objektywnie przedstawioną ideę tego celu.

Podobne zapomnienie naszych celów i naszéj osoby stanowi cechę uczucia estetycznego, i dla tego można je także otrzymać, gdy wielkość moralna lub materjalna przedmiotu sprawia, że w porównaniu z nim znikamy prawie, i to się nazywa wzniosłością. Na teraz mówić mamy tylko o piękności.

Przedmioty podobne jak koń, którego wzięliśmy za przykład, uwielbiają się bez żadnego względu na ich użyteczność, znikają nawet przypadkowe jego cechy i widzimy w nim przedstawiciela całego gatunku. Wszystko, co pozostaje charakterystycznego w podobnym przedmiocie, przedstawia ideę jego gatunku, a od łatwości, z jaką przedstawia ideę swojego gatunku, zależy jego piękność.

Tym sposobem wszystkie przedmioty natury, od kryształu aż do form ciała, aż do uczucia i namiętności serca ludzkiego, zdają się pokazywać cele natury względem gatunku, zdaje nam się, że w nich widzimy intencje natury. Pojęciu temu w naukach przyrodzonych odpowiadają indywidua uprzywilejowane Darwina.

Możnaby powiedzieć, że natura przychodzi do świadomości tych swoich celów dopiéro w umyśle wielkich artystów. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, jakim natura chce mieć człowieka, dopóki na to pytanie nie odpowie Fidjasz, Michał Anioł, Kanowa, każdy w sposób indywidualny, sobie właściwy, ale każdy w marmurze daleko lepiéj przedstawi cele natury, aniżeli je przedstawić może wiele żyjących w realnym świecie.

To samo należy powiedzieć o uczuciach i namiętnościach serca ludzkiego. Jak sobie natura życzy*) serce ludzkie, albo jak go sobie nie życzy, dają nam na to najwyraźniejszą odpowiedź Eschil, Homer, Dante, Goethe, Shakespeare, Mickiewicz, Fredro, i jeżeli wielką jest rozmaitość typów ciała ludzkiego, to zapewne większą jest jeszcze rozmaitość typów moralnych ludzkich tak samo w sztuce jak i w naturze. Ecce Homo i Alcybiades, Juljusz Cezar i Tadeusz Kościuszko przedstawiają ideę człowieka, ale każdy przedstawia ją w swój sposób indywidualny, ale każdy równie doskonale. Właściwie to jest najcharakterystyczniejszą różnicą pomiędzy pojęciem oderwaném a ideą estetyczną, że pierwsze przedstawia tylko ogół, druga indywiduum a raczéj, jak mówili starożytni, przedstawia ogół w indywiduum, universale in particulari. Gdy Piłat widząc biczowanego Chrystusa wyrzekł „Ecce Homo“, miał zapewne na myśli: oto człowiek, który poświęcając się, przedstawia najwznioślejszą ideę człowieka, a Linneusz gdy pisząc swoją klasyfikację notował „Homo sapiens“, miał na myśli tylko pojęcie oderwane człowieka.

Ponieważ pojęciom oderwanym w świecie realnym odpowiadają gatunki w naturze organicznéj, a nawet wyraz grecki idea jest tylko przeniesieniem pojęcia realnego gatunku w sferę idealną, tym sposobem przyłączyły się nowe żywioły do większego pomięszania tych pojęć.

Już w starożytności filozof-artysta najartystyczniejszego narodu pod słońcem Platon dał znaczenie metafizyczne ideom. Według Platona rzeczy, które poznajemy za pośrednictwem zmysłów, nie mają prawdziwego istnienia. Nie są one ale się stają czyli raczéj przyjmują istnienie warunkowe, ich byt podległy ciągłym zmianom może być uważany jako niebyt, mają istnienie względne tylko, to jest istnieją tylko w stosunku do innych. Tym sposobem rzeczy te nie mogą być nawet przedmiotami prawdziwego poznania, którego przedmiotem mogą być tylko rzeczy niezmienne. Tymczasem rzeczy te są jako cienie, które się tworzą i nikną, gdyż tym cieniom znikomym odpowiadają odwieczne idee, protypy tych, które się nie stają ale są rzeczywiście.

Takie były żywioły, z których scholastyka budowała, i tak są jéj właściwe, że kiedy w naszych czasach Schelling chciał kontrabandą wprowadzić mądrość średniowieczną za ludzką, użył właśnie idei estetycznéj, i to nietylko on sam, ale i jego uczniowie Adam Müller i Stahl.

Co zaś do zadań i metody filozofji wieków średnich, to te były zupełnie podobne do szkół greckich przed Sokratesem. Jak Tales lub Anaxagoras chciano sobie wytłomaczyć zagadkę świata, o którego przyczynie pierwszéj mieli pewność, sposób zaś, w jaki się świat stawał, miał się objaśnić tym materjałem filozoficznym, który już znamy, i wymogami naszego sumienia w stylu Sokratesa.

Tym sposobem powstała scholastyka, któréj właściwym charakterem jest chcieć tłomaczyć zjawiska świata zewnętrznego a priori za pomocą pojęć oderwanych, pod którą to definicją podpada także i wielu filozofów współczesnych, mianowicie zaś Schelling i Hegel.

Do zlepienia razem tych różnych pojęć, aby w ten sposób sobie a priori świat cały wybudować, służyło wyłączne użycie przyczyn celowych (causae finales) według wspomnianych już wyżéj maxym Sokratesa.

Dla lepszego zrozumienia, w jaki sposób używano i nadużywano tych przyczyn, musimy sobie zdać sprawę z pojęcia przyczyny.

Zdanie nil sine causa, nic bez przyczyny, które stanowi najpierwotniejszą funkcję naszego umysłu i które przewodniczy tworzeniu się wszystkich naszych pojęć czerpanych z doświadczenia, zdaje się na pozór mieć rozmaite sposoby zadowolenia swojéj ciekawości. Szkoła wyrażała, oznaczając cztery rodzaje, przyczyny: formalną, materjalną, skuteczną i celową (formalis, materialis, efficiens i finalis), jednakże w filozoficzném tego słowa znaczeniu nie może być innéj przyczyny jak skuteczna. Rozróżnienie przyczyny formalnéj i materjalnéj może mieć miejsce tylko wtedy, kiedy jakieś zjawisko uważać możemy za skutek dwóch razem przyczyn, które jeżeli są przytycznemi, nie przestają być skutecznemi. Przyczyna celowa da się także zredukować do przyczyny skutecznéj, i będzie to zatém przyczyną, w któréj działa idea celu. Gdyby to rozróżnienie miało mieć naukowe znaczenie, musiałoby zostać inaczéj sformułowaném w obec dzisiejszego rozwoju nauk; i tak przyczyna formalna byłaby przyczyną mechaniczną, fizyczną i morfologiczną, przyczyna materjalna byłaby

*) Czytelnik nie powinien zapominać, że „życzy“ jest wyrażeniem metaforyczném, które ma tylko wskazywać istnienie realne uprzywilejowanych indywiduów, obojętna zaś dla naszego przedmiotu, czy natura je tworzy ze świadomością czy bez świadomości, i dla tego naturaliści nie powinni się gorszyć tém wyrażeniem.

przyczyną chemiczną i fizjologiczną, przyczyna skuteczna organiczną a celowa idealną.

Dwa pierwsze rodzaje są nam obojętne, ale rozróżnienie przyczyn skutecznych i celowych jest bardzo ważne, bo od umiejętnego i właściwego ich użycia zależy powodzenie każdego naukowego zajęcia, gdyż zadaniem każdéj nauki jest wyszukiwanie przyczyn danych skutków. Ślicznie to wyraził Galileusz*) mówiąc: Tak jak złotnik drogie kamienie różnolite i rozrzucone układa po jednemu, żeby im kunsztowną dać oprawę, tak samo doświadczenie do skutku dobiera przyczyny i przyczyn do skutku i tylko tym sposobem udaje mu się czasami dojść do prawdy.

Z natury przyczyny celowéj wypadać musi, że może być użytą wtedy tylko, gdy idzie o istoty zdolne mieć pojęcie celu. Tym sposobem wyłącznie musi być użytą w teologji, gdyż ta ma za przedmiot istotę bezwzględnie rozumną i nie mogącą działać inaczéj jak tylko według idei celu.

Jednakże i nie wszystkie nauki pozytywne zajmują się ślepemi i bezwiednemi siłami przyrody, ale są także i takie, które mieć mogą, choć nie zawsze, pojęcie celu. Do nauk tych należą przedewszystkiém nauki historyczne w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, to jest także prawo i nauki polityczne; z natury zatém tych nauk wypada, że mogą objaśniać zjawiska któremi się zajmują, tak samo przyczynami skutecznemi jak celowemi Ztąd wypada, że nauka historji nigdy nie traci indywidualnéj cechy pisarza. Im więcéj dziejopisarz dąży do tłomaczenia faktów przyczynami skutecznemi, tém jest ściślejszy ale tém bardziéj zbliża się do kroniki; im bardziéj zaś dąży do objaśniania faktów przyczynami celowemi, tém bardziéj się zbliża do tak zwanéj filozofji historji, przyczém często bardzo traci wszelką realną podstawę.

Ponieważ teologja stanowiła główne zadanie naukowego życia wieków średnich, więc i jéj naukowa metoda, teleologja, służyła także do objaśniania zjawisk przyrody, chociaż właściwie nie objaśniały się one, ale tylko sposób ten ich objaśniania nabierał znaczenia prawd teologicznych. W ten sposób objaśniały się wyobrażenia astronomiczne Ptolomeusza celami Stwórcy, a zatém to, co się temu systemowi sprzeciwiało, zdawało się także sprzeciwiać i zamiarom Stwórcy, dla tego też musiało być uważane za bezbożne, a doświadczanie, to jest, poszukiwanie skutecznych przyczyn jako prowadzące do podobnéj bezbożności musiało także być niechętnie widzianém.

Jednakże oczywistość prawd zaczerpniętych z doświadczenia, które przytém i matematycznie stwierdzono, jest tak wielka, że musi je uznać każdy, kto uznaje elementarne prawa rozumu, i dla tego odkrycia astronomiczne Kopernika musiały prędzéj lub później zburzyć cały gmach scholastyki i tym sposobem zwolennicy Kopernika Jordan Bruno (Giordano Bruno) i Galileusz musieli być i reformatorami filozofji, i chociaż ich pamięć troskliwie była wygładzaną, zupełnie się jednak nie zatarła.

Znaczenie Bruna jest daleko większe w krajach zaalpejskich, we Francji, Anglji i Niemczech, gdzie żył i pisał, aniżeli w saméj ojczyznie, gdzie w 1600 roku został spalonym.

Współcześni Descartes'a wiedzieli bardzo dobrze że większą część myśli do swojéj „Mowy o metodzie" zaczerpnął od Neapolitańczyka*).

Oprócz świadectwa współczesnych przekonywać nas muszą o téj pożyczce Descartes'a i same dzieła Bruna. Jedno z nich napisane w Paryżu i wydane z listem do Henryka III Walezjusza pod tytułem: „Accrotismus seu rationes articulorum Physicorum adversus Peripateticos Parisiis propositorum"*) zawiera w sobie treść podobną do „Mowy o metodzie", lecz jest upstrzone uszczypliwemi żartami przeciw scholastykom w guście neapolitańskim.

Wpływ Bruna na Bacona był zapewne bezpośrednim, gdyż go znać musiał w Londynie na dworze królowéj Elżbiety, gdzie obadwaj jednocześnie przebywali. Co do Niemiec wpływ Bruna nie wygasł dotąd i Jacobi i Schelling przyznawali się do niego a nawet ostatni na cześć jego napisał djalog p. t. „Bruno."

Galileusz jest znanym wyłącznie jako fizyk, ale był nim dla tego tylko, że cały swój skarb spostrzeżeń umiał obrobić w sposób zdradzający nietylko umysł ale i wykształcenie filozoficzne. Prace jego fizyczne możnaby daleko słuszniéj niż dzieła Milla nazwać systemem indukcyjnéj i dedukcyjnéj logiki, oprócz tego zostawił prace filozoficznéj ściśle treści a nawet rozprawę estetyczną o poemacie Tassa.

Więziony i torturowany za swoje astronomiczne i fizyczne odkrycia, bardzo niechętnie zapuszczał się w ogólniejsze filozoficzne poglądy; ale kiedy nie mógł ich uniknąć, nie taił swoich, należących właściwie do dziedziny filozofji, w których nawet w specjalnych kwestjach, odnoszących się do teorji poznania, jest wyższym nietylko od współczesnych, ale nawet od tych potomnych, którzy sobie jego odkrycia przywłaszczyli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Proemio alle naturali esperienze. Mowa powiedziana przy otwarciu akademji Del Cimento.

*) Huat, biskup z Avranche, w dziele pod tytułem „Censura Philosophiae Cartesianae" cap. 8, p. 215, mówi: „Extitit inter novitios Philosophus Jordanus quidam Brunus, Nolanus, quem Cartesianae doctrinae antesignanae jure dicas: adeo accurate omnem propemodum ejus compositionem praesignavit in eo libro quem de immenso et innumerabilibus inscripsit.

To przywłaszczenie sobie niektórych pojęć Bruna, nie przyznając się do tego, zarzuca także Descartowi i Leibnitz.

*) Wydany w Wittemberdze 1588. Jeden exemplarz znajduje się w bibljotece Brara w Medjolanie.

Wycieczka do Morskiego Oka

przez Zawrat.

Napisał

Walery Eljasz.

Powiadają, że być w Tatrach a Morskiego Oka nie zwiedzić znaczy tyle, co będąc w Rzymie nie zobaczyć Papieża. Zyskało ono bowiem tak rozgłośną sławę, że wielu turystów udaje się do Tatr jedynie dla zobaczenia Morskiego Oka; przybyli zaś goście w góry dla żętycy lub świeżego powietrza, nie zważając wcale na odstraszające przeszkody, puszczają się do Morskiego Oka, chociażby to przypłacić mieli nadwerężeniem zdrowia. Pod względem wygód, ułatwienia komunikacji, Tatry to nie Alpy, gdyż, rzekłbym, są jeszcze dziewicze, do

wnętrza ich wdzierać się przychodzi z znacznym zapasem sił i wytrwałości, aby się nie zrazić lada przeciwnością. Nadaje to właśnie wycieczkom po Tatrach więcéj fantastyczności, wrażenia z podróży uwydatniają się silniéj a przez to dłużéj tkwią w pamięci.

Bardzo ciekawa, pełna uroku jest wycieczka do Morskiego Oka, zwłaszcza gdy się ją odbywa pieszo przez Zawrat. Po większéj części jednak podróżni udają się tam wózkiem przez wieś Bukowinę, nie czując się na siłach, by przebywać kilka grzbietów, szczególniéj Zawrat, pod względem trudności więcéj okrzyczany, niż jest w rzeczywistości. Wielu podróżnych dla wyniesienia swéj odwagi lub po prostu z natury ludzkiéj, miłującéj się w przesadzie, rozpowiada niestworzone rzeczy o niebezpieczeństwach przy chodzeniu po Tatrach, ztąd pochodzi owa sława Zawratu. Z płci męzkiéj zwykle młode pokolenie udaje się tędy do Morskiego Oka, zaś z płci żeńskiéj żadna dotąd osoba nie przebywała Zawratu, spodziewam się jednak, że po przeczytaniu niniejszego opisu niejedna z pań ośmieli się w czasie pobytu w Tatrach pójść słynną drogą ku powstydzeniu niejednego lękliwego mężczyzny, a za trochę trudów znajdzie sutą nagrodę, bo zobaczy naraz przyrodę tatrzańską w całéj okazałości. Niech zaś nikogo nie odstraszają skreślone tu przygody, bo to była wyjątkowa wycieczka z powodu słotnéj pory, którą się odznaczał rok 1869 tak, że w Tatrach nawet po całotygodniowym deszczu na 40 godzin nie można było być pewnym pięknéj pogody.

Otóż gdy po czterech dniach bezustannego deszczu wreszcie d. 4 sierpnia rozjaśniło się przed wieczorem a słońce jaskrawo oświeciło Giewont i okoliczne szczyty, postanowiliśmy przywieść do skutku zamiar udania się do Morskiego Oka, bo można było przypuścić, że będziemy mieli kilka dni pięknéj pogody, czego nam właśnie było potrzeba na odbycie téj wycieczki z Zakopanego. Następny jednak dzień zasępiony posłużył nam przynajmniéj do poczynienia przygotowań na drogę i dopiéro trzeciego dnia wczas przed świtem stanęło kilka osób w pogotowiu do pochodu: przyjaciel mój Władysław C., siostra moja i ja, bo inni nie dotrzymali przyrzeczenia; za przewodnika wzięliśmy sobie Jędrzeja Walę, syn zaś jego Józef podjął się nam zanieść grubszą odzież i żywność na miejsce noclegu łatwiejszą drogą przez polanę waksmundską, którędy mieliśmy powracać. Ze sobą wzięliśmy tylko pożywienie do wieczora starczące i okrywki, które nas miały chronić przez dzień od chłodu.

Nim się ze wszystkiém urządziliśmy, pomimo rychłego wstania czas tak zbiegł prędko, że 6 godzina minęła, gdy ruszyliśmy na wózku w drogę, dokąd końmi mieliśmy dojechać. Koło kościołka Zakopiańskiego, z pomiędzy licznego szeregu chat skręciwszy za mostkiem ku południowi, wjechaliśmy drogą wiodącą do kuźnic na otwarte pole, mając przed sobą las, za nim od wschodu na zachód rząd jakby na straży stojących regli t. j. gór wstępnych, pośród których rozciągają się doliny a po nad niemi piętrzą się wierchy coraz wyższe, które mamy przebywać. Doliny Bystréj, dokąd dążyliśmy, od wschodu strzeże wierch skalisty Nosal (3,745 stóp wied.) a od zachodu lesisty Krokiew (4,264′). Równinę poprzed Krokwią tworzą moczary poprzerzynane licznemi potokami, które złączone przebyliśmy po mostkach na skręcie drogi koło domu Staszeczka. Wjechaliśmy w las jak tu zwykle świerkowy, droga łączy się z gościńcem wiodącym wprost do kuźnic pobudowanych w dolinie Bystréj. Ciągle jadąc pod górę, napotykamy mostek z okrąglaków złożony po nad częścią potoku Bystréj, odłączoną dla zasilania wodą zwierzyńca dworskiego, co go tu poznać od zachodniéj strony drogi po wysokim parkanie. Na wstępie do doliny są pierwsze zabudowania, walcownia (2,958′) rozpoczyna szereg kuźnic poruszanych wodą. Potoki toczą się przez dolinę kilkoma stronami, droga główna wiedzie prosto w górę ku dworowi, uboczna zaś ku wschodowi tuż od walcowni prowadzi przez osadę zwaną Bystrem do Jaszczurówki. O istnieniu kuźnic zakopiańskich za Augusta II r. 1701 pewna jest wiadomość, obecnie zeszły do bardzo nędznego stanu, co naturalnie świadczy niepochlebnie o dotychczasowych ich właścicielach; z rokiem 1870 przeszły Zakopiańskie dobra na własność pruskiego obywatela. Przez wycięcie lasów w wyższych dolinach w zimie bywał brak wody w potokach, tak że kuźnice nie miały się czém poruszać.

Jadąc ciągle w górę, mija się po zachodniéj stronie huty, po wschodniéj domy robotników a w górze ku końcowi doliny obszerną murowaną karczmę (3,166′), za nią jeszcze wyżéj dwór (3,192′) i mieszkania dworskich urzędników. Za odlewarnią rozdziela się droga na dwie strony, ku zachodowi na polanę Kalatówki, gdzie jest wspaniałe źródło Bystréj, znane pod imieniem Białego Dunajca, na południe zaś do doliny Jaworzynki i do kopalń rudy żelaznéj w Magurze. Dla nas skończyła się tu już jazda, wysiedliśmy z wózka po za karczmą, zaoszczędziwszy sobie w ten sposób blisko milę drogi.

Po wygodnéj kładce przebyliśmy potok rozbijający się z hałasem o złomy granitu, ochoczo z świeżemi siłami dążyliśmy ścieżką ku lasowi, gdzie nas czekał zmudny kawałek drogi na wierzch Boczania. Idzie się krętą drogą lub prostą ścieżką lecz bardzo stromą, męczącą; tą razą Wala powiódł nas naprzód koło źródła wybornéj wody + 4° 4 Rm. (3,219′) ścieżką wśród lasu, poczém napotkawszy drogę, już nią udaliśmy się ku wierzchowi, bo po słocie trudno bardzo przychodziło nam się drapać po błotnistéj powierzchni pośród korzeni i drzew powywracanych. Tu w drodze spotkaliśmy towarzystwo z kilku młodych mężczyzn złożone, z dwoma góralami, z których jeden kościelny z Zakopanego podjął się ich prowadzić do Morskiego Oka, a ztamtąd przez polski Grzebień do Szmeksu. Minęliśmy ich, nie mając zamiaru czynienia wyścigów w chodzeniu, bo to w górach najniedorzeczniejsze, a jeżeli gdzie wyraźniéj, to tu sprawdza się przysłowie, że daléj zajdzie ten, co idzie powoli ale ciągle.

Stanęliśmy na wierzchu Boczania, las się skończył, ścieżka wiodła po grzbiecie gołego, odartego Opaleńca, gdzie nam się odsłonił ku północy piękny rozległy widok: pod stopami mieliśmy dolinę Olczysk z dwoma polanami, szałasami, a szum potoku z niéj dolatywał; w dali widać było dolinę Nowotarską a za nią Beskidy zamykały widnokrąg. Odetchnąwszy chwilę puściliśmy się daléj żwirową dróżyną ku Kopie Królowéj (4,887′); była to niegdyś droga jezdna, lecz zębem czasu poszczerbiona, dziś tylko służy ludziom do przejścia i dla zapędzenia bydła na halę Gąsienicową. Królewskie miano dostało się dwom czubom góry od jéj właściciela Podhalanina, co się zowie Królem.

W cieniu pod wierzchem Kopy Królowéj południowéj usiedliśmy, aby się nasycić wspaniałym widokiem. Była godzina 8, słońce pięknie oświecało całą przestrzeń ziemi, roztaczającą swoje wdzięki przed naszemi oczami; wiatr chłodził ciało rozgrzane dotychczasową drogą, dzisiejsze pierwsze wrażenia świata górskiego mile duszę usposabiały, czuliśmy we wszystkiém świeżość i urok pięknéj przyrody. Podhale Nowotarskie całe od Orawy po Pieniny u stóp naszych przedstawiało się plastycznie, doliny Czarnego i Białego Dunajca a na nich miasteczka, wsie, osady, lasy, pastwiska i pola orne. U podnóża Beskidów błyszczała wieżyczka kościoła Nowotarskiego, ku zachodowi łańcuch gór ginął gdzieś po za Babią górą a ku wschodowi kończył się Pieninami. Poniżéj naszego stanowiska gdzieś w głębi zieleniała

dolina Jaworzyńska, za nią sterczał Giewont w kształcie gotyckiéj wieży, otoczony kotlinami; od zachodu Wielka Koszysta rozpoczynała szereg dzikich turni, które w dalszéj drodze dopiéro w całéj okazałości się nam przedstawiły.

Spotkanie wśród pustych obszarów gór żywego stworzenia bardzo miłe robi wrażenie, czuje się wtedy ów łącznik, jaki istnieje między życiem, jakolkolwiek się objawiającém w obec martwoty. To też dochodzące nas szczekanie psów owczarskich, odgłos dzwonków zawieszanych u szyi owiec, wyrwały nas z osamotnienia. Wkrótce ujrzeliśmy stado owiec a za niém kilku juhasów t. j. pasterzy. Przesunęli się nam w dali na drugą stronę góry i znów szum wiatru pozostał nam za towarzysza, nim dostaliśmy się do doliny stawów Gąsienicowych.

Szliśmy po równinie porosłéj kępkami kosodrzewiny t j. krzewów karłowatéj sosny, rodzaju najwyżéj rosnącego z wszystkich drzew, bo poczyna się na wysokości 4,200 stóp wied. a kończy dopiéro na 6,085'. Równinka ta jest halą Królową, dawniéj stał tu szałas owczy, lecz dla wichrów przenieśli się z nim pasterze na dół do doliny Gąsienicowéj. Ztąd zachwycił nas widok na łańcuch dzikich turni, które od południa zaległy jak ściana, zda się nieprzebyta. Turnie te gołe, odarte, miejscami płatem śniegu przystrojone, straszą widzów swoją dzikością i wielkością Co do odległości wzrok nasz wszędzie w górach ulega złudzeniu niezmiernemu, przyczém i w oznaczaniu wysokości bardzo się mylimy. Główną tego przyczyną jest brak porównania: człowiek jest tu tak maleńki, że się gubi w olbrzymich rozmiarach natury i dopiéro przez własne doświadczenie nabywa prawdziwego pojęcia o rzeczywistości.

Mijając halę Królową zastanawialiśmy się nad osobliwością niezwykłą: były to ogromne złomy granitu ponarzucane z przeciwnego grzbietu gór na wapień, który jest składową częścią grzbietu, na którym staliśmy, a przedziela go dolina stawów Gąsienicowych, gdzie pośrodkiem widać linję zetknięcia się granitu z wapieniem. Zatém owe głazy granitowe dostały się tu albo przez wybuch wulkaniczny lub w czasie potopu przez wodę. Przypatrując się takiemu szczegółowi, nie wiedzieć kiedy ścieżką na dół wiodącą wśród kosodrzewiny zeszliśmy pod szałasy Gąsienicowe.

Kilkanaście szałasów i szop zaludnia w lecie liczna osada, pochodząca z rozgałęzionéj bardzo rodziny Gąsieniców w Zakopanem, bo do nich tutejsza hala należy. Dla odróżnienia ponadawano Gąsienicom przydomki, które dziś stanowią ich nazwiska, a wszyscy mają prawo do paszenia bydła na hali od nich nazwanéj, od czego i Stawy Gąsienicowemi przezwano. Poniżéj rozlegające się lasy należą do pana Ad. Uznańskiego, właściciela Szaflar i Poronina z przyległościami. Lud tego obywatela bardzo wdzięcznie wspomina, że w biedzie i w wszelkiéj potrzebie ratuje ich, po ludzku się obchodzi, jakby w przeciwstawieniu dotychczasowych właścicieli Zakopanego. Tu zaraz napotyka się dowody jego życzliwości, bo darował drzewa z swego lasu tyle, ile było potrzeba na wystawienie szałasu porządnego i tratwy na Czarnym Stawie. Szałas jest własnością Macieja Sieczki (4,900'), gdzie gość w razie potrzeby znajdzie porządny w stosunku do zwykłych szałasów nocleg. Jest to bardzo ważny nabytek dla pilnych zwiedzaczy gór, że w punkcie zbornym mogą się nie źle przespać, nie potrzebując wracać do Zakopanego; tędy bowiem idzie się na Koszystą, Krzyżne, Wołoszyn, na Granaty do Morskiego Oka przez Zawrat i na Świnnicę. Ciekawie i malowniczo wyglądają tutejsze koliby czyli szopy na bydło, świadczą jednak o bardzo starożytnym sposobie chodowania bydła jak za czasów Abrahama. Ściany takiéj koliby ułożone są z kamieni wielkich za pomocą drzewa, a gałęzie kosodrzewiny tworzą dach. Do nich spędzają na noc tylko krowy, bo owce pod gołém niebem nocują w zagrodzeniu ułożoném z kosodrzewiny, woły zaś i konie żyją na zupełnéj wolności; nie troszczą się o nie wcale właściciele ani we dnie ani w nocy; paszą się, gdzie chcą i na obraném miejscu według własnéj woli spoczywają. Cóż to za wytrzymałe stworzenia, że przy tak nędznéj opiece nie marnieją, przetrzymując burze i długie słoty bez żadnego schronienia! Z powodu znacznéj ilości paszącego się na hali Gąsienicowéj bydła o sér owczy, o żętycę tu nie trudno, a mleka pysznego, nie zbieranego, słodkiego lub kwaśnego znajdzie tu aż do przesytu.

Poszliśmy prosto przed szałas Sieczki; na nasze powitanie wybiegł juhas, zapraszał do wejścia, lecz woleliśmy na świéżém powietrzu odpocząć i spożyć trochę mleka, które nam z szałasu wyniesiono. Mając daleką i stromą drogę przed sobą, musieliśmy dla ustrzeżenia się od ociężałości zadowolnić się jak najmniejszą ilością mleka wybornego, o jakie trudno po innych halach.

Mały odpoczynek przy szałasie posłużył nam do rozpatrzenia się w rozłożonym przed nami grzbiecie turni śnieżystych. W środku piętrzy się jak wieża spiczasty Kościelec, od wschodu u stóp jego widać wał jakby groblę, porosłą kosodrzewiną, za którą mieści się Czarny Staw Gąsienicowym przezwany dla odróżnienia od innych Czarnych stawów po Tatrach. Nad stawem od południa sterczą Czarne Ściany (7,316'), dalej widać wierzchołki Granatów (północny szczyt 7,090' a południowy 7,101'), poprzed niemi Mała Koszysta (6,631'), która stopami swemi ku wschodowi zwróconemi zakrywa przed nami dolinę Pańszczycę; za nią ukazuje się długi grzbiet Koszystéj Wielkiéj (7,047'). Gdy się znów zwrócimy od Kościelca ku zachodowi, zaimponuje nam olbrzymia turnia przepaścista, Świnnica, najwyższy szczyt w tém pasmie (7,395'). Daléj ku zachodowi przełęczami poprzedzielane widać Pośrednią Turnią (6,845'), Skrajną Turnią (6630'), z któréj schodzi grzbiet na przełęcz Liljowe (6,165') Stokowiska pod Świnnicą i Pośrednią Turnią zajmują stawy Gąsienicowe.

Świerki rosnące w swéj wyższéj strefie wegetacyjnéj wyróżniają się od swoich braci w równinach; gałęzie górskich świerków nie układają się na około pnia regularnie, lecz fantastycznie się grupują, a przytém świerk, zwany w Tatrach smrekiem, nim dorośnie, przetrzymać musi burze, wichry, mrozy i wszelkie żywioły górskie, a w końcu osiwiały sterczy jak szkielet, nadając dziksze wejrzenie tatrzańskim dolinom. Takich właśnie starców świerkowych dosyć oglądaliśmy, podążając ku Czarnemu Stawowi. Od szałasów Gąsienicowych wiedzie ścieżka część drogi na dół pośród bujnego kosodrzewu i złomów granitu, którego różne gatunki napotykaliśmy, barwy różowéj, szarawéj, żółtawéj, z błyszczykami świecącemi metalicznie jak srebro. Ulepszyli ścieżkę tę przewodnicy najsłynniejsi na Podhalu, Jędrzéj Wala i Maciéj Sieczka, powycinawszy kosodrzew, gdzie zawadzał lub utrudniał przejście. Trudną mieliśmy przeprawę przez potok płynący z Czarnego Stawu, bo po deszczach więcéj niż zwykle toczyło się wody po kamieniach. Postępując coraz bystrzéj w górę, po 3 kwadransach drogi od szałasów przybyliśmy na wierzch wału, zkąd naraz ukazała się nam wielka powierzchnia ciemnéj, gładkiéj i połyskującéj się jako zwierciadło wody, a okoliczne turnie pięknie się w niéj odbijały. Był to Staw Czarny

Na wysokości 5,263 st. przestrzeń 31 morg. 1168 sąż. kw. zajmuje staw wśród pysznego otoczenia, ubiegając się z Morskiém Okiem o pierwszeństwo w piękności. Wysepka, niedaleko brzegu stercząca po nad wodą i zielonością pokryta, urozmaica ciemną powierzchnię wody, w któréj głębiach nurza stopy swe spiczasta turnia, przezwana od podobieństwa do kościoła Kościelcem. Wypoczynek mieliśmy tu wyśmienity, mchy

i trawy bujne służyły nam wybornie za fotele lub kanapy, a przed nami widok wspaniały, upajający. Czarny Staw jednak ustępuje pierwszeństwa Morskiemu Oku z powodu braku drzew, czego przyczyną jest jego położenie wyższe od Rybiego o 803 st., gdzie już tylko kosodrzewina rośnie. Przy ujściu potoku ze stawu odszukaliśmy tratwę, gdzie ją pęd wody i wiatr zawiódł. Zbudowali ją znowu ciż sami przewodnicy, Wala i Sieczka, wywłócząc z wielkim trudem drzewo w górę z lasu. Tratwa, zbudowana dla studjów naukowych i dla zabawy gości, doznała zaraz opiekuńczéj troskliwości o dobro drugich, bo dwóch artystów, malarzy krajowidoków, A. Sw. i Bg., którzy tu bawili jeszcze w jesieni, popłynęli tratwą tą na Czarnym Stawie po pod Kościelec, tam na brzegu wysiedli, zostawiwszy ją już na zimowanie. Na wiosnę przy tajeniu lodów urwał się głaz od turni i spadłszy na tratwę przedziurawił i taką później górale na bezpieczne miejsce przywiedli.

W drodze do Morskiego Oka tu odpoczywający podróżni, mając przed sobą olbrzymi, urwisty grzbiet skalisty a nie przypuszczając, aby go można przebywać, zwykli pytać przewodników o dalszą drogę. Przezorni górale odpowiadają wymijająco, nie chcąc straszyć gości, bo zdarzało się, że na widok tego tu pasma turni opuszczała odwaga niektórych turystów do drapania się na wierzch grzbietu.

Bardzo mile zeszło nam kilka chwil po nad Stawem Czarnym; miejsce to usposabia poetycznie, bo oprócz pięknego widoku cisza i pustka robi na umysł wrażenie. Dla Władysława była tu jeszcze inna przyczyna zachwytu, bo po raz pierwszy w życiu oglądał jezioro tatrzańskie. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Alessandro Manzoni.

W dniu 22 maja wieczorem zmarł w Medjolanie 88 letni starzec, którego śmierć pokryła kirem żałoby całe Włochy, od doliny Brenty aż do szczytów Kalabrji i Sycylji.

Alessandro Manzoni urodził się 8 marca 1785 roku. Ojciec jego Piotr nie odznaczył się niczém, matka natomiast, Giulia, córka słynnego uczonego markiza Cesare Beccaria — jak w ogóle matki wszystkich wielkich ludzi, była znakomitą w całém tego słowa znaczeniu kobiétą.

W młodym bardzo wieku posłano go do kolegjum duchownego Morate w Brianza, gdzie przepędził najsmutniejsze lata życia, mnisi bowiem karali go nieustannie jako chłopca, który nic się nauczyć i nic pojąć nie jest zdolny. W tym względzie działo się Manzoniemu tak jak Walter-Scottowi, który w szkołach uchodził za najtępszą głowę.

Po ukończeniu wyższych nauk w Medjolanie i Pawji udał się 20-letni młodzieniec do Paryża, gdzie w salonach matki zapoznał się i zawarł ścisłe stosunki z takimi ludźmi jak: Garat, Volney, Tracy, Fauriel i panie Cabanis i Condorcet. Pod wpływem tego towarzystwa stał się Manzoni zapalonym wyznawcą zasad Voltaire'a, które jednak niedługo potém stanowczo odrzucił.

Stało się to pod wpływem żony, którą nad życie kochał. Manzoni ożenił się w 1808 r. z córką genewskiego bankiera Ludwiką Henryką Blondel, która przeszedłszy z protestantyzmu na łono kościoła rzymskiego, stała się zapaloną katoliczką. Po 25-letniém nadzwyczaj szczęśliwém pożyciu stracił Manzoni żonę a wkrótce potém wszystkie dzieci — następnie drugą żonę z domu hrabiów de Borra a na parę miesięcy przed zgonem pochował zwłoki najstarszego syna, liczącego już lat 60.

Manzoni całe życie cierpiał, kochał i pracował. Życie więc jego było czyste jak łza niewinna. Brudna zawiść lub podejrzenie zginały czoło przed szlachetnością jego charakteru a wszelkie stronnictwa i odcienia tak polityczne jak kościelne czciły jednako wyobraziciela najzacniejszych tradycji i usiłowań narodowych. Mimo przywiązania, jakie zmarły wieszcz żywił dla domu Sabaudzkiego, mimo krzesła w senacie i godności honorowego obywatela Rzymu, dumni byli najprawowitsi katolicy z człowieka, którego dzieła przedstawiały katolicyzm w idealnym blasku. Stronnictwo arystokratyczne wybaczało mu chętnie surowość, z jaką wytykał jego wady i słabostki, czuło bowiem w nim swego członka po duchu i krwi, który nie szlachtę lecz jéj błędy gromi. Lud zaś uwielbiał w Manzonim obrońcę swych krzywd i boleści, przyjaciela, który chętnie serdecznym uściskiem dotykał namulonéj ręki.

Pierwotnym ideałem Manzoniego było odmłodzenie i zjednoczenie Włoch pod naczelnictwem Papieża. Rozczarowanie, jakiego doznał, nie pociągnęło go do odstępstwa jak tylu innych. Zachowując stale ideały młodości, wierzył Manzoni zawsze, że kościół z narodowością pogodzić się musi i zmarł unosząc z sobą sumienne przekonanie, iż obu tym kierunkom całe życie gorliwie służył.

Utwory pióra Manzoniego nie są liczne, był bowiem zdania, że lepiéj jest tworzyć mało ale gruntownie, niż produkować na wielką skalę rzeczy bez wpływowéj i artystycznéj wartości.

Oprócz takich poematów jak: „Tryumf wolności", „Śmierć Karola Imbonati", „Hymny święte" i „Piąty Maj", napisał dwie tragedje: „Hrabia Carmagnola" i „Adelchi", które swego czasu niezmierny wpływ wywarły. Najznakomitszym jednak dziełem jego, do którego czerpał natchnienie z dwóch tak potężnych czynników jak miłość ojczyzny i miłość żony, jest wspaniała, w całym cywilizowanym świecie znana powieść „Promessi Sposi." Manzoni pisał tę powieść za czasów panowania Austrjaków we Włoszech, musiał przeto używać przenośni, a kreśląc jaskrawemi barwy tyranję hiszpańską we Włoszech z XVII wieku, podniecał żarliwie do buntu przeciw rzeczywistym tyranom. Mimo napaści takiego demagoga jak prof. neapolitańskiego uniwersytetu Settembrini, który w dziele swojém „Lezioni di letteratura Italiana" nazywa Manzoniego wstecznikiem i traktuje go jak demagogowie niemieccy traktowali niegdyś Goethego, powieść „Promessi Sposi" stworzyła we Włoszech nową szkołę historycznego romansu, z któréj wyszły takie powagi jak: Tomasz Grossi, Massimo d'Azeglio, Cezar Cantu i Franciszek Guerazzi.

Podług demagogów Manzoni był wstecznikiem — a jednak młodzi ochotnicy wolności włoskiéj z jego piosnką na ustach rzucali się na austrjackie bagnety, a jednak wychowani w jego zasadach patrjoci i polityczni przyjaciele z pogodném czołem szli na rusztowa-

nie, by umierać za ojczyznę na hańbiącym stryczku, — a jednak poeta Giulio Carcano mógł słusznie wyrzec nad jego grobem: „Kochali go wszyscy tu w kraju i zagranicą — kochali go ludzie cichéj pracy i ruchliwéj dyplomacji, kochał go nasz ludowy bohater i nasz król. W czasach upadlającéj niewoli uczył nas Manzoni cnoty obywatelskiéj, polegającéj na utrzymaniu godności narodowéj i na silnéj wierze, iż sprawiedliwość i wolność zwyciężyć muszą."

Dr. W. M. O.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Sprawozdanie z uroczystości **J. Jungmanna** w Pradze dla spóźnionéj pory odkładamy do przyszłego numeru.

* * *

— Miasto nasze, stolica Wielkopolski, bywa niestety zbyt często świadkiem teutońskich demonstracji, drażniących w najwyższym stopniu narodowe nasze uczucia, dopełniających miarę krzywd doznawanych z góry. Od dnia 6 do 9 b. m. gościło tu 400 członków prowincjonalnego stowarzyszenia śpiewaków, składającego się z 28 towarzystw, pomnożonych gośćmi z sąsiednich prowincji a nawet z zagranicznego kordonu z pod panowania rosyjskiego. Wszędobylscy ci panowie napełniali miasto nasze przez 4 dni i noce niesłychaną wrzawą a na zakończenie urządzili monstre demonstrację śpiewną w ogrodzie ludowym, któréj przysłuchiwać się musiały białe orły i inne godła przyłączonych do Prus polskich ziem i prowincji, wystawione po bokach świątecznego amfiteatru. Ze zdumieniem spostrzegliśmy czarnego dwugłowego rosyjskiego orła jako herb miasta Tomaszowa, które przecież dotąd nie zostało jeszcze anektowane, a z większém jeszcze zdumieniem pytaliśmy się, jak rząd rosyjski pozwalać może podwładnym sobie Niemcom na branie udziału w podobnych demonstracjach, za które Polaka spotkałby niechybnie Sybir lub, co najmniéj, forteca. Wiadomo, jaka jest dążność niemieckich Vereinów, wiadomo również, jakie są ich zasługi w sprawie niemieckiéj jedności, — dziwimy się więc także, dla czego my sami takich związków nie stanowimy, dla czego zawięzywane dla słabego udziału utrzymać się nie mogły. Zaiste dziwnie przedstawia się dziś ten nasz słynny patrjotyzm, wszyscy o nim deklamują, wszyscy radziby zbawić Ojczyznę a nikt ręki do pracy przyłożyć nie chce, — nie wróg bije nas, lecz niedbalstwo i lenistwo.

* * *

— **Towarzystwo wzajemnéj pomocy artystów i literatów** zawiązało się we Lwowie. Prezesem rady jest Henryk hr. Łączyński, wice-prezesem Bolesław Ładnowski, dyrektorem Eug. hr. Cetner. Artyści krakowscy przystąpili też do stowarzyszenia a na czele téj krakowskiéj filji stanął Józef Rychter.

* * *

Warunki konkursu dramatycznego krakowsko-lwowskiego na rok 1873/4.

1) Premja pierwsza 700 złr. za dramat lub komedję bezwzględnie dobrą.

2) Premja za utwór względnie najlepszy, dramat lub komedję w 3 aktach, 400 złr.

3) Za utwór drugi z kolei względnie dobry, także dramat lub komedję, 300 złr., bez wykluczenia dwuaktowych i jednoaktowych.

4) Za względnie dobrą sztukę ludową w 3 aktach, w dwóch, jeżeli wodewil lub operetka czy opera, 300 złr. Z sztuk ludowych caeteris paribus pierwszeństwo mieć będą utwory osnute na tle narodowém. Mogą się o te premje ubiegać także utwory z muzyką, muzyka atoli musi być także nadesłaną.

5) Utwory inne nadesłane, choć nieuwieńczone lecz polecone przez Komisję, muszą być grane we Lwowie i w Krakowie.

6) Sztuki już grane lub drukowane wykluczono od konkursu, niemniéj takie utwory, które już ubiegały się o nagrodę na konkursie krakowskim i pominięte zostały.

7) Termin ostateczny do nadsyłania sztuk oznaczono do dnia 1 stycznia 1874.

8) Utwory nadsyłane winny być do Lwowa pod adresem: „Hrabia Eugenjusz Cetner, Lwów, w Teatrze."

9) Komisję konkursową składają: Przewodniczący Dr. Małecki. Ze strony teatru lwowskiego: pp. Adam Bełcikowski, hr. Witold Borkowski, hr. Aleksander Jan Fredro, Bolesław Ładnowski, hr. Eugenjusz Cetner. Z strony teatru krakowskiego: pp. hr. Stanisław Badeni, Łoziński, Zygmunt Sawczyński, hr. Władysław Koziebrodzki, Stanisław Koźmian.

* * *

— O księciu **Józefie Poniatowskim**, zmarłym nagle 4 b. m. w Londynie, następujące podajemy szczegóły: Książę urodził się w Rzymie dnia 20 lutego 1816 r. Na chrzcie otrzymał imiona: Józef-Michał-Xawery-Franciszek-Jan. Ojciec jego, Stanisław Poniatowski, był stryjecznym bratem księcia Józefa, który dnia 19 października 1813 r. zginął w Elsterze. Młodzieniec wychowany w Rzymie, około 1840 r. wstąpił do oddziału strzelców afrykańskich, miał udział w walce prowadzonéj podówczas z Arabami i dosłużył się stopnia dowódzcy szwadronu. Naturalizowany następnie w Toskanji, od wielkiego księcia otrzymał tytuł książęcy Monte-Rotondo. W r. 1848 Włosi dwukrotnie obierali go deputowanym do Izby, jaką wypadki 1848 obdarzyły Toskanją. Późniéj rząd powierzał mu kolejno poselstwa w Paryżu, Londynie i Brukseli. W r. 1854 osiadł książę Poniatowski w Paryżu; po roku otrzymał prawny charakter Francuza a w grudniu 1855 r. mianowany został przez Napoleona III senatorem. Z poprzedniego zawodu pozostała mu była dekoracja wielkiego krzyża orderu legji honorowéj. Książę uprawiał z zamiłowaniem i bez rzeczywistego talentu — muzykę. Oddał się poważnym kompozycjom na orkiestrę i oprócz utworów symfonicznych i religijnych napisał siedm oper: „Jan Procyda", „Ruy-Blas", „Narzeczona z Abydos", „Piotr Medyceusz", „Don Desiderio", „Gelmina„ i wreszcie „Au travers d'un mur."

Dwie ostatnie są najpóźniejszemi jego utworami w dziedzinie muzyki dramatycznéj. „Gelminę" wystawił był w r. z. a ostatnia opera w tym roku dopiéro zjawiła się na scenach w Londynie, Paryżu i Brukseli. Najlepszą ma być „Piotr Medyceusz", libretto jéj wzięte z dziejów Karola VIII.

* * *

— „Litterarisches Centralblatt“, w Lipsku wychodzące, ogłosiło konkurs **Towarzystwa księcia Jabłonowskiego**, mogący mieć interes i dla nas, tém bardziéj, że w konkursie tym idzie o rozprawy tyczące się spraw naszych a mogące być pisanemi nietylko w języku niemieckim, ale i francuzkim i łacińskim. Z drugiéj zaś strony żaden podobno naród nie może poszczycić się tylu lingwistami, co właśnie Polacy, uważamy zatém za rzecz pożyteczną ogłoszenie warunków i wymagań konkursu. Na rok 1873 z terminem po koniec listopada idzie o rozprawę określoną tak: „Źródłowe dzieje polskiego handlu zbożem z zagranicą“, nagroda 60 dukatów. Na rok 1874 (termin nadesłania co roku z końcem listopada) żądana rozprawa przedstawiająca: „Szczegółowe zbadanie stosunku, w jakim znajdują się w obrębie rodziny indoeuropejskiéj języki grupy litewsko-sławiańskiéj do języków germańskich.“ Szczegółowa uwaga co do tego opracowania: używać można tylko łacińskiego i greckiego alfabetu, oznaczając dźwięki litewskie i sławiańskie podług systemu, którego trzymał się August Schleicher. Nagroda 60 dukatów. Rozprawa na rok 1875 tycząca się „Dziejów rozpowszechnienia się i rozwoju języka niemieckiego w Prusach wschodnich i zachodnich aż do końca XV wieku, ze szczegółowém uwzględnieniem wpływu, jaki nań wywarły dwa niemieckie dyalekty.“ Jeżeli dla zbadania przedmiotu podróż okaże się konieczną, Towarzystwo prócz nagrody 60 dukatów zapewnia zwrot kosztów téj podróży. Nareszcie na rok 1876 rozprawa dająca pogląd na „Połów i handel śledziami w zakresie morza Niemieckiego i Baltyckiego.“ Nagroda 700 marek. Prace wszystkie mają być przesyłane pod adresem sekretarza Towarzystwa księcia Jabłonowskiego. Na rok 1873 jest sekretarzem p. Zarnecke, profesor literatury niemieckiéj w uniwersytecie lipskim i redaktor pisma „Litterarisches Centralblatt.“

* * *

— Dr. Leon Biliński, docent nauk politycznych przy c. k. uniwersytecie lwowskim, wydał własnym nakładem dzieło p. t. „**Wykład ekonomji społecznéj.**“ Dr. Biliński znany jest powszechnie jako młody, zdolny ekonomista, spodziewać się zatém należy, iż i powyższa praca zasłużonéj doczeka się oceny.

* * *

— Pan Makowiecki, redaktor „Gazety rzemieślniczo-przemysłowéj“, powziął zamiar utworzenia **Muzeum przemysłowego**. Krakowskie muzeum p. Baranieckiego, założone i zebrane z wysiłkiem silnéj woli, wskazuje, ze podobnego rodzaju zbiory mogą się dla nas stać istotnie pożytecznemi.

* * *

— **Antoni Rubinsztein** dał w ciągu swéj podróży po Stanach Zjednoczonych 215 koncertów, które mu przyniosły 200,000 fr. dochodu. — **Wieniawski** znajduje się w Nowym Jorku, zkąd w towarzystwie fortepianisty Wolfsons i jednéj śpiewaczki ma zamiar puścić się w dalszą drogę, aż do Kalifornji podobno.

* * *

— **Listopad**, powieść Henryka hr. Rzewuskiego wyszła w tłomaczeniu rosyjskiém w Petersburgu.

* * *

— Znany powszechnie sławista **Ludwik Leger** wydał w Paryżu obszerne dzieło p. t. „Le Monde Slave, voyages et littérature“, o którém w jednym z następnych numerów obszerniéj referować będziemy.

* * *

— Znakomita artystka teatru krakowskiego p. **Antonina Hoffman**, gości obecnie we Lwowie, gdzie występowała dotąd w „Ćwiartce papieru“, „Ostrożnie z ogniem“, „Dalilli“ i „Marja Joanna.“ Występy te są szeregiem tryumfów.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.